

Niemiecki partner amerykańskiego przywódcy



KRZYSZTOF RAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
ekspert Ośrodka Analiz Strategicznych

Nie sposób zrozumieć meandrów relacji niemiecko-amerykańskich bez doktryny partnerstwa w przywództwie, która powstała na początku prezydentury Georga Busha starszego

Podczas tegorocznej monachijskiej konferencji bezpieczeństwa senator John McCain określił antykryzysową dyplomację kanclerz Angeli Merkel mianem „głupoty” (foolishness). Swojego sceptycyzmu i krytycyzmu nie kryło także wielu komentatorów najbardziej opiniotwórczych gazet, nie znajdując sensu w trwających od miesięcy rozmowach z prezydentem Rosji. Powstało wrażenie, że łatwowierna i prostoduszna Merkel raz po raz daje się wodzić za nos twardemu i niesłownemu Putinowi. Ta optyka grzeszy jednak naiwnością i niezrozumieniem sensu gier międzynarodowych.

Kto tu jest głupi

Po konferencji w Monachium kanclerz Merkel poleciała do Waszyngtonu. I bez trudu udało się jej porozumieć z prezydentem USA, który na kilka dni przed tym spotkaniem deklarował, że nie podejmie żadnej decyzji dotyczącej Ukrainy bez wcześniejszej z nią rozmowy. Prze-

konała go, że szanse na militarne rozwiązanie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego są bardzo małe oraz namówiła do wstrzymania się z decyzją o wysyłaniu broni na Ukrainę.

Tym samym Obama zostawił jej wolną rękę w negocjacjach z Putinem. Zapewnił także, że nawet jeśli skończą się one fiaskiem, to Europa i Ameryka pozostaną wobec Rosji „silne i zjednoczone”, a istniejące różnice pomiędzy nimi odnoszą się tylko do taktyki, a nie strategii. Kanclerz zamknęła usta swoim krytykom, którzy oskarżali ją o niszczenie więzi transatlantyckich i jedności Zachodu. Co więcej, ci, co wczoraj mieli ją za krótkowzroczną koniunkturalistkę, zaczęli dostrzegać w niej rysy męża stanu.

Pozycja Merkel bierze się z pełnego wsparcia, jakiego udziela jej prezydent Barack Obama. I nie ma ono charakteru koniunkturalnego, lecz jest skutkiem przemyślanej amerykańskiej strategii, wypracowanej jeszcze trakcie procesu powtórnego zjednoczenia Niemiec.

Partnerstwo w przywództwie

Stany Zjednoczone, podejmując w końcu lat 80. XX wieku decyzję o zjednoczeniu Niemiec miały określoną koncepcję ładu europejskiego. Po raz pierwszy publicznie przedstawił ją w końcu maja 1989 r. w zachodnioniemieckim Mainz prezydent George Bush. Tytuł jego wystąpienia mówił wszystko: „Europa cała i wolna”. Kluczowy fragment dotyczył roli RFN:

„Dziejowy geniusz Niemców objawił się w pełnej postaci w tym wieku pokoju. Naród niemiecki stał się liderem technologii i stworzył czwartą pod względem wielkości gospodarkę na świecie. Ale ważniejsze jest to, że zainspirował świat silnym wsparciem fundamentalnych zasad: praw człowieka, demokracji i wolności. Stany Zjednoczone i Republika Federalna Niemiec były zawsze solidnymi partnerami i sojusznikami, ale dziś musimy odegrać razem jeszcze jedną rolę: partnerów w przywództwie (partners in leadership)”.

Bush nie pozostawił wątpliwości, że przywództwo oznacza odpowiedzialność za to, by idea wolności i demokracji odniosła zwycięstwo nie tylko w Europie, ale w całej Eurazji. „Ta idea krąży po Eurazji. To za sprawą tej idei wrze w całym komunistycznym świecie od Budapesztu po Pekin”.

To przemówienie wygłoszone zostało na miesiąc przed wyborami kontraktowymi w Polsce, na pół roku przed upadkiem muru berlińskiego. Zjednoczenie Niemiec nie stało jeszcze na agendzie politycznej Europy. Jak zauważa generał Brent Scowcroft, ówczesny doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta Busha, zawarte w nim sformułowanie o „partnerach w przywództwie” „nie kryło w sobie żadnych szczególnych intencji, było retorycznym ozdobnikiem

i miało dodać Niemcom otuchy” (cyt. za G. Bush, B. Scowcroft, „Świat przekształcony”).

Nie znaczy to jednak, że w Białym Domu nie powstawały analizy strategiczne dotyczące geopolityki europejskiej. Scowcroft wspomina, że podczas prac nad przeglądem sytuacji strategicznej na samym początku urzędowania administracji Busha rozważano skutki ewentualnego powtórnego zjednoczenia Niemiec. Po między Narodową Radą Bezpieczeństwa a Departamentem Stanu pojawiła się różnica zdań. Analitycy tej pierwszej instytucji

Pozycja Merkel bierze się z pełnego wsparcia, jakiego udziela jej prezydent

Barack Obama

uważali, że USA powinny „zwracać większą uwagę na Republikę Federalną Niemiec – lokując ją w centrum amerykańskiej polityki europejskiej – i na sprawę zakończenia podziału Niemiec”. Ta druga natomiast uznawała tego rodzaju dywagacje za przedwczesne.

Równoprawny partner

Historia dramatycznie przyspieszyła swój bieg pod koniec roku 1989. Proces zjednoczeniowy, który miał trwać latami, jeśli nawet nie dekadami, zajął kilkanaście miesięcy. Nowe Niemcy stały się nie tylko największą potęgą Europy, ale wskutek słabości dwóch najważniejszych mocarstw kontynentalnych – Francji i Rosji – największą potęgą całej północnej Eurazji. Siła Niemiec wynikała przede wszystkim

z ich przewagi demograficznej i gospodarczej. W trakcie dekady lat 90. nie przekładały się one w zasadzie na przewagi geostrategiczne. Kanclerz Kohl niczym Bismarck chciał przekonać swoich partnerów, że Niemcy są mocarstwem „nasyconym”. Z tego powodu kontynuował wpisywanie interesów swojego kraju w kontekst europejski i atlantycki. Dlatego Niemcy były nadal głównym partnerem Ameryki w procesie ekspansji polityko-militarnych struktur Zachodu. Partnerstwo w przywództwie polegało na tym, że Niemcy odgrywali kluczową rolę w rozszerzeniu NATO i UE na państwa Europy Środkowo-Wschodniej. Dokładnie w duchu przemówienia prezydenta Busha z Mainz.

Na korektę kursu i dopasowanie go do zyskanej wskutek zjednoczenia potęgi zdecydował się następca Kohla Gerhard Schröder, kanclerz RFN w latach 1998–2005. Był on pierwszym niemieckim powojennym przywódcą, który otwarcie zaczął mówić o realizacji niemieckich interesów narodowych. Pierwszą kampanię wyborczą oparł na krytyce wspólnej europejskiej waluty, a drugą – na sprzeciwie wobec amerykańskiej interwencji w Iraku. Po raz pierwszy po wojnie wysłał żołnierzy Bundeswehry na misje poza granicami kraju (Kosowo, Afganistan). Zawarł z Rosją partnerstwo strategiczne, czego wyrazem była współpraca przy budowie gazociągu północnego.

Krytyka amerykańskiej interwencji w Iraku była zerwaniem podporządkowania hegemonowi zza oceanu. Miała na celu uwolnienie Berlina z ograniczeń narzuconych w ramach struktur euroatlantyckich przez Waszyngton. Nie oznaczała jednak zerwania z Ameryką, a jedynie zredefiniowanie partnerstwa w przywództwie. Chodziło o to, by Waszyngton rze-

czywiście traktował Berlin w pełni po partnersku, tzn. uzgadniał swoje posunięcia z Niemcami jako równoprawnym mocarstwem światowym.

Reakcją na asertywność Schrödera była korekta kursu Waszyngtonu. Jego następczyni, Angela Merkel, natychmiast po objęciu urzędu kanclerza w 2005 roku zdecydowała się na ocieplenie stosunków z Ameryką. W odpowiedzi prezydent George Bush młodszy ponowił propozycję partnerstwa w przywództwie.

Geopolityczny gracz

Taki bieg wypadków przewidywała większość amerykańskich strategów. Transatlantycki konflikt pomiędzy Buschem i Schröderem był zatem odstępstwem od pewnej normy. Pomógł części elit waszyngtońskich w zrozumieniu ograniczeń potęgi własnego państwa i wyrównaniu relacji pomiędzy Waszyngtonem i Berlinem.

Teoretyczny model koncepcji „partnerstwa w przywództwie” można znaleźć w wydanej w roku 1997 książce Zbigniewa Brzezińskiego „Wielka szachownica”.

Celem polityki zagranicznej USA jest jak najdłuższe utrzymanie globalnego przywództwa. Jego fundamentem jest kontrola Eurazji. Dokonuje się ona nie wskutek bezpośredniego panowania, lecz pośredniego wywierania wpływów, np. na tzw. graczy geopolitycznych. Są to państwa, „które chcą i mogą wykorzystywać własną potęgę i wpływy poza swoimi granicami, aby zmieniać – w stopniu oddziałującym na interesy amerykańskie – istniejący geopolityczny stan rzeczy”.

Takim graczem, według Brzezińskiego, są Niemcy. Odgrywają szczególną rolę, ponieważ są centrum integracyjnym Europy i strategicznym partnerem Rosji.

Ich rola rośnie: „Zjednoczone Niemcy nie tylko przestały podporządkowywać się Francji pod względem politycznym, lecz automatycznie wyrosły na niekwestionowaną potęgę Europy Zachodniej, a nawet mocarstwo światowe”.

Brzeziński wyciąga z tego wnioszek, że przynajmniej na krótką metę Waszyngton powinien grać na przywództwo Berlina w Europie.

...a sprawa polska

Doktryna „partnerstwa w przywództwie” i jej konsekwencje winny być dokładnie przemyślane nad Wisłą. Stanowi ona bowiem ramę, w którą musi wpasować się polityka polska, jeśli ma być realistyczną, tzn. ma mieć skutki w świecie rzeczywistym i służyć realizowaniu interesów narodowych. Polska jest zbyt słaba, aby prowadzić politykę przeciwko dwóm mocarstwom światowym.

Mało realne jest przekonanie, że uda się nam wbić klin pomiędzy Berlin i Waszyngton lub rozgrywać ich między sobą. Amerykańska polityka mierzenia geopolitycznych zamiarów na zasoby będzie sprzyjać współpracy pomiędzy nimi, ponieważ pozwoli na dalsze ograniczenie wojskowej obecności Ameryki w Europie. Z perspektywy Waszyngtonu Niemcy i kierowana przez nich UE są gwarantem stabilności w zachodniej Eurazji. Ewentualny sukces Transatlantyckiego Partnerstwa w dziedzinie Handlu i Inwestycji (TTIP) tylko wzmocni związki obu mocarstw. Krótko mówiąc, ich interesy są komplementarne, ponieważ jedno jest mocarstwem kontynentalnym, a drugie oceanicznym. Na ewentualny konflikt amerykańsko-niemiecki można by liczyć tylko w sytuacji opisanej przez Kissingera w „Dyplomacji”, tj. gdyby Berlin chciał zostać

hegemonem w Europie. Jak na razie, Niemcy są na to i za słabe, i za sprytne.

Trzeba pamiętać, że USA i RFN uzgadniają strategię wobec naszego regionu. Chociażby w kontekście wojny na Ukrainie oba mocarstwa zgodnie odmówiły Polsce stacjonowania na jej terytorium stałych baz sojuszniczych, powołując się na rzekome zobowiązania wobec Rosji sprzed prawie 20 lat.

Na ewentualny konflikt amerykańsko-niemiecki można by liczyć tylko w sytuacji, gdyby Berlin chciał zostać hegemonem w Europie. Jak na razie, Niemcy są na to i za słabe, i za sprytne

Można nawet założyć, że bez pełnego zaangażowania Niemiec gwarancje bezpieczeństwa, jakie oferuje nam Ameryka, mogą okazać się nieskuteczne. Bez nich bowiem efektywna obrona flanki wschodniej może być niezmiernie trudna. RFN to największy kraj NATO sąsiadujący z Polską oraz kraj ściśle koordynujący swoją politykę bezpieczeństwa z Francją, posiadającą największą armię na kontynencie. Do tego na jej terenie znajduje się kluczowa infrastruktura sojuszu (w tym broń jądrowa krótkiego zasięgu). Bez aktywnego udziału tych dwóch największych potęg kontynentalnych trudno wyobrazić sobie sojuszniczą obronę terytorium Polski. Problem polega na tym, że od momentu rozszerzenia Berlin nie chce

uwzględnić tego podstawowego interesu bezpieczeństwa swoich wschodnich sojuszników i sąsiadów.

Polscy politycy lekceważą znaczenie polityki Berlina dla spoistości Sojuszu. Bierze się to z przesadnej wiary w Amerykę. Nie zależy nam na niemieckim wsparciu militarnym, albowiem pokładamy nadzieję, że w ostatecznym rachunku otrzymamy je zza oceanu. Liczymy na westernowy finał: w krytycznym momencie zabrzmią trąbki idącej nam na odsiecz amerykańskiej kawalerii. Ta wiara we wszechmoc Waszyngtonu wynika z niezajomości realiów. Elity polityczne nad Potomakiem pogrążone są w politycznym paraliżu. Bierze się on z braku konsensusu w sprawie modelu globalnego przywództwa USA i sposobów jego finansowania. Wskutek tego USA ograniczają swoje zaangażowanie militarne na całej kuli ziemskiej. Instrumentem przywództwa nie będą samodzielne akcje zbrojne, ale wielostronna dyplomacja. Musimy być gotowi na to, że w przypadku kryzysu nie doczekamy się odsieczy. Co gorsza, bierność Niemiec może być powodem zaniechania akcji ze strony Waszyngtonu. Dlatego sprawy naszego bezpieczeństwa winniśmy załatwiać z obydwoma partnerami w przywództwie.

Musimy balansować

Amerykańsko-niemieckie partnerstwo w przywództwie i rosyjsko-niemieckie partnerstwo strategicznie ograniczają

możliwości ruchu polskiej dyplomacji. Nie znaczy to jednak, że jedyną opcją pozostaje „płynięcie w głównym nurcie”. Zapewne słabe państwo nie może płynąć pod prąd, ale może tak sterować, by wykorzystywać i główny nurt, i prądy boczne. Taką politykę balansowania prowadzą z całkiem dobrym skutkiem kraje w trudniejszym od naszego położeniu strategicznym, jak Białoruś czy Ukraina. Polska uczyniła cnotę z „nierobienia polityki”, czego efektem jest rezygnacja z uprawiania polityki regionalnej.

Notabene, wbrew tym deklaracjom polityków polska łódka wcale nie płynęła w głównym nurcie, raczej poddawała się różnym prądom, odbijała się od brzegu do brzegu. Cud, że się przy okazji nie rozbiła.

Nie jest to niestety gołosłowna konstatacja. O braku sterowności polskiej dyplomacji świadczy kilka najbardziej spektakularnych porażek ostatnich lat: jednoczesne przyjęcie traktatu lizbońskiego i pakietu klimatycznego, ocieplanie stosunków z Moskwą pomimo jej agresji na Tbilisi, podpisywanie niekorzystnego kontraktu gazowego z Rosją i blokowanie przedsięwzięć dywersyfikacyjnych, zgoda na niedotrzymywanie przez Berlin zobowiązań traktatowych czy wspomniana rezygnacja z polityki regionalnej.

To nie płynięcie w głównym nurcie, ale ślepe poddawanie się jego prądom. A przecież każda łódka, nawet mała, ma kompas, ster i wiosła. Trzeba je tylko chcieć wykorzystać.